

PIERWSZY WRZEŚNIA

Obudził nas przejmujący, nieco drżący głos II mechanika.

— Wstawajcie! Niemieckie samoloty buszują nad miastem.

Zaczęła się wojna...

— Wariat! Widocznie źle spał — odburknął marynarz, lecz słowa II maszynisty były tak mocne, tak przekonujące i wywołujące dreszcz przerażenia, że w kilka minut byliśmy już na pokładzie.

Rozpoczęty pogodny wrześniowy poranek, wisiał nad Płockiem, iskrzył barwnym światłem szyby nadbrzeżnych domostw.

Katedralna miedź błyszczała jak złoto, a szare wody Wisły płynęły majestatycznie do swojego zlewiska.

Niby wszystko było jak każdego wczesnego dnia. Port oczekiwał godzinę rozpoczęcia pracy. Holownik, dymiąc grubym kominem, przygotowywał się do dalszego rejsu. Jeszcze stały przy ładach łódzie piaskarskie a nieliczni rybacy, wracali z nocnej wyprawy.

A jednak...

Od tła rozslonecznionej, pięknej panoramy miasta, odbijał się obcy dla ucha jęk motorów, zakłócający ciszę spokojnego życia. Przerywany, dudniący pomruk silników, wibrował w uszach jakąś złowrogą melodią i budził w duszy niepokój.

Staliśmy bez słowa, z oczami utkwionymi w czarne, zniżone nad miastem sylwetki samolotów, wołowato oblatujące teren.

— Łosie. Dzisiaj jest próba — powiedział stojący palacz, lecz nie dokończył głośnej myśli.

Ostry, przenikliwy, wywołujący pęd powietrza, huk, był zakończeniem zdania i odpowiedzią na wszelkie wątpliwości. Nad miastem

ukazał się czarny pióropusz dymu. A nad naszymi głowami bezmelodyjnie, sucho, zaterkotał karabin maszynowy.

Teraz zrozumieliśmy rzeczywistość przynoszącą całą krajowi wojnę.

Jeszcze wczoraj, śpieszyliśmy się z doraźnym remontem naszego s/p „Pośpieszny”, aby znów rozpocząć żeglugę. Jeszcze wczoraj, moja młodzieńcza zapalczywość nie wierzyła w zwiastuny wojny, chociaż widziałem wyraźnie jej znaki.

Chodząc po ulicach miasta, przypatrywałem się wspólnie kopanemu schronowi, podobnemu do zbiorowego grobowca, tuż przy gmachu Sądu w miejscu, gdzie rosły piękne kwiaty. Młodzież, kobiety i mężczyźni kopali doły a dzieci, skakały do środka i cieszyły się swoją żywiołową beztroską. Obok, przy Grobie Nieznanego Żołnierza, rezerwiści pod okiem grubego sierżanta, ustawiali imitację karabinu maszynowego. Inni żołnierze rekwirowali rowery. Przy szpitalu kopano rów strzelecki. Powołani mobilizacją z pośpiechem załatwiali ostatnie wojskowe formalności i przechodzili na ulicę Kolegialną do punktu, gdzie zgrupowani fryzjerzy golili głowy. Mosty zostały obsadzone wartami a na środku i przyczółkach, stała broń maszynowa. Jeszcze wczoraj na słupach ogłoszeń i w miejscach publicznych żółciły się plakaty z programem ćwiczeń lotniczych.

Dzisiaj nowy dzień wrześniowy obudziła bomba wojenna. Popłoch ogarnął ludzi i paraliżował codzienny wart życia.

Porzuciłem i ja pracę i udałem się do miasta. Stojąca przed mostem grupka, na wpół umundurowanych żołnierzy nie wiedziała co czynić. Taśma naboju była wypełniona ćwiczebnymi



Przy drogach spotkać było można porzucony sprzęt wojskowy

nabojami. Na moście zobaczyłem człowieka z przestrzeloną ręką a dalej pierwszą ofiarę, trupą, człowieka należącego do narodowości niemieckiej.

Ludzi ogarnął szal strachu. Zniknęły stragany z rynku. Zamykano sklepy i uciekano poza miasto. Mężczyźni oblegli punkt mobilizacyjny i domagali się broni. Wojsko z koszar uchodziło pośpiesznie w pole. Do szpitala znoszono rannych, ofiary bomb lotniczych.

I już nie było spokoju. Naloty wrogich eskadr powtarzały się często i pod wieczór, na polu radziwiskim w pobliżu wału mostowego, pocisk lotniczy, chłopcu pasącemu krowę urwał rękę.

Widok był wstrząsający i obrazował straszną tragedię wojny. Nadchodząca noc z daleka przynosiła głuche, wyjące echo mławskiej bitwy. Ludzie nie odchodzili od głośników, a gdy znów nastał dzień zobaczono narodową wędrowną bez celu.

Wszyscy wiedzieli, że wszędzie jest opór i śmierć. Że wróg nie ma litości nawet dla dzieci i zaczęto puszczać mieszkania i iść tam, gdzie tkwiła jeszcze nadzieja obrony, do Warszawy.

Temu porywowi uległem i ja. Poszedłem, aby przejść drugą, męczącą i niebezpieczną trasę, na której hulała śmierć, szerzona lotnictwem wroga.

STANISŁAW CHRZANOWSKI

FRAGMENTY WSPOMNIEŃ

(z pamiętnika nieznannej autorki z lat 1936–1939)

Maj 1937 r. K a m i e n i e c, pow. Gostynin

Jak to dobrze, że już maj. Niedługo wakacje. Zmęczyłam się tą szkołą. Zmieniłam gospodarza. Stołuję się teraz u ludzi, którym jak na dzisiejsze czasy powodzi się nieźle. Gospodarz jest wójtem w szczawińskiej gminie. Na urządzie dorobi trochę grosza. Mimo to mała Zosia (wnuczka wójta) odżywiana jest bardzo słabo. Starsi jedzą nie lepiej. Na śniadanie żurek z kartoflami i chlebem, na obiad zacierki lub barszcz nie zawsze z okrasą. Mięso tylko w okresie świąt. Dziś kupiłam dla Zosi w Żychlinie ciastek. Jak to dziecko jadło!

D o p i s e k a u t o r a.

W tym samym czasie kiedy mała Zosia tęskniła za słodyczami, a działacze ludowi na wiecach mówili o nędzy i zacofaniu gospodarczym wsi, Niemcy hitlerowskie przekreślały demilitaryzację Nadrenii, choć do tego dobrowolnie i uroczyście zobowiązały się w Locarno. W Polsce trwa nadal flirt z Niemcami, rozpoczęty jeszcze w 1934 r., w parę tygodni po dojściu Hitlera do władzy. Politycy sanacyjni z Beckiem na czele byli przeświadczeni, że ekspansja Niemiec hitlerowskich pójdzie w innym kierunku i ominie Polskę.

Maj 1937 r. B i e l s k k/Płocka

Byłam u rodziny w Bielsku. Tu spędziłam 3 Maja. Były uroczystości i to dość okazałe. Najładniej wystąpiła w czasie obchodu Liga Morska i Kolonialna. Z własnym sztandarem. Niektórzy członkowie ubrali się w marynarskie mundury. Podnoszono okrzyki — my chcemy kolonii.

D o p i s e k a u t o r a.

Tak zwana mocarstwowa polityka sanacyjnego rządu rzuca hasło — Polska od morza do morza! Liga Morska i Kolonialna na tym nie poprzestaje, pragnie ponadto jeszcze kolonii. Czy w tej sytuacji można się dziwić, że nawet w Bielsku nie brak było ludzi marzących o polskiej... Ukrainie?

Czerwiec 1937 r. P ł o c k

Byłam dziś w cukierni Szalańskiego. Nie wiedziałam, że u nas w Polsce panują jeszcze takie zwyczaje, że podoficer nie ma prawa zajmując miejsca przy stoliku w cukierni, jeśli siedzi już na tej sali oficer. W tym wypadku podoficer (to był mój brat) musi prosić oficera o pozwolenie.

Lipiec 1937 r. Ł ą c k k/Płocka

Odwiedziłam koleżankę w Łącku. Zamieszkała tu podobno na stałe pan Marszałek Rydz-Śmigły. Na stałe, bo tylko czasem cała świąta wyjeżdża limuzynami do Warszawy, by po kilku dniach wrócić do pałacyku.

Opowiadała mi koleżanka o śmiesznym wydarzeniu z życia marszałkowej, które zasłyszała od kobiet łąckich. Myślę jednak, że zmyślone. Otóż pani marszałkowa zapowiedziała pewnego dnia, że pragnie iść na grzyby. I rzeczywiście następnego dnia rano wybrała się do lasu. Grzybobranie udało się nad podziw. Prawdziwków znalazło się tyle, że sam Mickiewicz musiałby po tym fakcie wprowadzić pewne korekty do swego grzybobrania w Panu Tadeuszu.

Czy rzeczywiście lasy łąckie były w tym czasie tak zasobne? Nic podobnego! Wtajemniczeni opowiadają, że przed wyjściem marszałko-